

Rzym, lotnisko Fiumicino. Piąty października dwa tysiące dwudziestego trzeciego roku. Dwa dni po wybuchu bomby atomowej w polskim internecie.

Przemierzam lotnisko w kapturze, w mojej głowie panuje chaos. Cały czas odnoszę wrażenie, że ktoś na mnie patrzy, więc próbuję się ukryć, nawet gdy wokół mnie nie ma żywej duszy. Spoglądam na nietęgi wyraz twarzy ojca, który stąpa obok mnie. Nie chcę sobie nawet wyobrażać co musi czuć. Nadaję dwie walizki bagażu i powoli zaczynam przemieszać się w kierunku kontroli bezpieczeństwa. Zmęczony i zrezygnowany, kompletnie nie spodziewam się, że tragiczna sytuacja, w której się znalazłem, może stać się jeszcze gorsza.

Mam ze sobą telefon, zegarek i plecak, który robi za mój bagaż podręczny. Wyciągam z kieszeni wszystkie rzeczy zawierające metalowe elementy i kładę je na taśmie. Sprawnie przechodzę przez kontrolę i widzę, jak powoli suną się w moim kierunku. Z początku ignorowałem wibrujący bez przerwy telefon, będąc pochłoniętym wyciąganiem swoich przedmiotów z koszyka. Spojrzałem w stronę taty, który przechodził manualną kontrolę, ze względu na metalową zastawkę serca. Wiedząc, że mam jeszcze trochę czasu, postanowiłem zweryfikować powód nieustających wibracji. Moim oczom ukazały się powiadomienia o trzech nieodebranych połączeniach od Natalii, dwóch od Mateusza i jednym od prawnika. Cóż, takie zestawienie nie mogło zwiastować niczego dobrego. Niedowierzając i starając się znaleźć w głowie potencjalne powody takiej sytuacji, zastygłem w bezruchu. Wtedy moim oczom ukazało się kolejne powiadomienie o treści: „przyjechała policja”.

Myśli zaczęły kłębić się w mojej głowie. Wiedziałem przecież, że nie zrobiłem nic złego. Mimo to, serce waliło jak szalone, a każda kolejna myśl pogrążała mnie w jeszcze większym poczuciu niepokoju. W pierwszej kolejności postanowiłem oddzwonić do Mateusza i gdy tylko usłyszałem jego głos, zrozumiałem, że niezależnie od tego jak beznadziejna jest sytuacja, muszę wziąć się w garść.

Warszawa, godzina szesnasta. Natalię budzi intensywne pukanie do drzwi. Poprzedniego wieczoru wypila z przyjaciółką parę butelek wina. Musiała odreagować wszystko, co wydarzyło się w przeciągu dwóch ostatnich dni. W ogóle się jej nie dziwię.

W drzwiach wynajmowanego przez nas mieszkania nie było zamontowanego oka judasza. Naturalnie pociągnęła za klamkę, a jej oczom ukazało się czterech policjantów, wymachujących nakazem przeszukania. Uzbrojeni byli w notesy, długopisy, woreczki do pakowania „zdobyczy” i walizkę, która zawierała elektronikę niezbędną do wykonania zleconych czynności. Policjanci - trzech mężczyzn i jedna kobieta - byli bardzo mili. Przekazali jej, że muszą zabezpieczyć wszystkie moje

komputery, telefony, dyski i pozostałe urządzenia elektroniczne. Ruszyło postępowanie i prokuratura szukała dowodów, które świadczyłyby o winie Stuarta.

Po nieudanych próbach dodzwonienia się do mnie, Natalia wykonała telefon do Mateusza, który z kolei skierował ją do mojego prawnika. Ten następnie wyruszył do naszego mieszkania. W międzyczasie Natalia usiadła z funkcjonariuszami w kuchni i próbowała ułożyć sobie to wszystko w głowie - a do ułożenia miała naprawdę sporo. Od momentu otworzenia drzwi, policja nie spuszczała jej z oka. Po przyjeździe prawnika, gdy wszystko było już jasne, zaczęli oni przeprowadzanie czynności. Sądzę, że nie spodziewali się tego, co zastań. Dwustumetrowe mieszkanie, które wynajmowaliśmy, było całe zawałone moimi gratami. Bałagan to mało powiedziane. Kartony piętrzyły się pod ścianami, a na stołach, krzesłach i podłodze wały się sterty niepotrzebnych rzeczy, których dawno powinienem był się pozbyć. W konsekwencji policja opuściła mieszkanie dopiero po ośmiu godzinach, w okolicach północy.

Mateusz, jak zwykle, był niesamowicie opanowany, gdy musiał mi wszystko przekazać. Wiedział, że zaraz odlatuję i liczyła się każda minuta. Poinformował mnie o tym, co wydarzyło się w naszym mieszkaniu i doradził, co powinienem zrobić w następnej kolejności. Teraz, po takim czasie, może się to wydawać absurdalne, ale wtedy nie wiedzieliśmy dosłownie nic. Za niespełna dwa tygodnie odbywały się w Polsce wybory parlamentarne i oczywistym był fakt, że każda partia będzie chciała wykorzystać ten głośny temat, aby zdobyć większe poparcie. Absolutnie nie chcę tu nikogo atakować, ale taki jest fakt - przecież w ciągu paru dni od publikacji wideo Wardęgi, wypowiedziały się publicznie w tym temacie wszystkie najważniejsze osoby, z każdej partii politycznej. Ta niepewność, dotycząca całego zamieszania, sprawiła, że doradzono mi zmianę kierunku lotu. Tak, doskonale wiem jak to brzmi. Nie inaczej musiało to brzmieć dla mojego ojca, który jako emerytowany prokurator, usłyszał, że jego syn poleci do Berlina. Mój prawnik wytłumaczył mu jednak telefonicznie powód takiego stanu rzeczy. W tamtym momencie wszystko, jak już wspominałem, było niepewne. Dla ówczesnej władzy atrakcyjne było mówienie o tym, że wyjaśnianie sprawy nabrało tempa i logicznym argumentem było to, że lepiej aby potencjalne nagłówki w artykułach brzmiały „Marcin Dubiel stawiał się na przesłuchaniu”, niż „Marcin Dubiel został doprowadzony na przesłuchanie”. Był to jeszcze czas, kiedy zależało mi na walce o swój PR. Ta chęć umarła parę tygodni później, ale o tym niewątpliwie przeczytasz w dalszej części.

Chciałbym powiedzieć, że wszystko, co wydarzyło się później pamiętam jak przez mgłę, ale jest dokładnie na odwrót. Każda sekunda utkwiała w mej pamięci, niczym głęboko wryte wspomnienie, którego nie sposób wymazać. Wydarzyło się tak wiele absurdów, że aż nie sposób przytoczyć je wszystkie.

W pierwszej kolejności zakupiłem bilety do Berlina. Ustaliłem z tatą, że ten wróci do Warszawy i odbierze moją walizkę. Po zakupie nowego biletu, okazało się, że muszę wyjść z lotniska i zrobić odprawę na innym terminalu. Szybkim chodem udałem się zatem do wyjścia i zacząłem go szukać. Gdy w końcu odnalazłem odpowiednią lokalizację, ustawiłem się w kolejce do odprawy. Tam rozpoczęła się seria niefortunnych zdarzeń, które do teraz sprawiają, że na myśl o nich dostaję gęsiej skórki. Stojąc w kolejce zorientowałem się, że nie mam dowodu. Wyciągnąłem z kieszeni telefon i zadzwoniłem do taty, pytając czy nie został on razem z nim. Okazało się, że pracownik lotniska, który odprawiał nas za pierwszym razem, włożył mój dowód do paszportu taty. Gdy to usłyszałem, wystrzeliłem jak z procy z powrotem w kierunku poprzedniego terminala. Dobiegłem do kontroli bezpieczeństwa i zorientowałem się, że... nie mam dowodu! Tak, pobiegłem odebrać od taty dowód, ale nie mogłem przejść kontroli bez pokazania dokumentu tożsamości. Udało mi się jednak pokonać to zrzędzenie losu, a uratowało mnie prawo jazdy. Do teraz nie jestem przekonany czy pracownik lotniska miał prawo wpuścić mnie dalej na podstawie prawa jazdy, lecz w tamtej sytuacji był to prezent, który spadł mi z nieba. Zadzwoniłem do ojca i zapytałem gdzie jest. Tata nie zna angielskiego, więc nieporadnie starał się wytłumaczyć jakie sklepy i miejsca widzi wokół siebie. Trochę mi to zajęło, ale w końcu go znalazłem. Przypomniałem mu raz jeszcze gdzie ma się kierować, odebrałem dowód i ponownie popędziłem w stronę wyjścia. Tym razem przeszedłem odprawę bez większych problemów, choć niewiele brakowało, bym nie zdążył na czas.

Po sprawdzeniu numeru wejścia, przypisanego do mojego lotu, udałem się w jego stronę. Okazało się, że moja bramka znajdowała się tuż obok bramki mojego taty. Zmierzając w jej stronę, w oddali zobaczyłem ojca. Stał w kolejce do tunelu, który prowadził do wnętrza samolotu. Wyglądał bardzo lichy. Sytuacja musiała go potwornie przytłoczyć. Bardzo chciałem go przytulić, ale nie mogłem się tam zbliżyć. Wiedziałem, że wszędzie wokół niego stoją sami Polacy. Nie umiałem się przełamać i podejść, ponieważ wizualizowałem sobie najgorsze scenariusze, w których będą na mnie patrzyli, oceniali i wyśmiewali. Paranoja opętała moją głowę.

Po paru minutach oczekiwania, aż wszyscy pasażerowie lotu do Polski wejdą na pokład, ruszyłem w stronę bramki lotu do Berlina. Na tym pewnie mógłbym zakończyć tę historię, ale moje życie - o czym przekonasz się w dalszej części tej książki - rządzi się swoimi prawami i funduje mi niespodzianki w momentach, kiedy najmniej ich oczekuję lub potrzebuję. Gdy w spokoju (choć słowo to nie określało raczej tamtej sytuacji) rozsiadłem się na ławce przy swojej bramce, usłyszałem głos, który próbował się przebić wśród odgłosów kroków, cichych rozmów i stukotu walizek.

- Attention! Passenger Marcin Dubiel, please proceed immediately to the gate. This is a final call.

Jeśli nie znasz angielskiego, to w wolnym tłumaczeniu oznacza to mniej więcej „pasażer Marcin Dubiel ma stawić się przy bramce, albo samolot odleci bez tego idioty”.

Wiedząc, że nie lecę do Polski i nie chcąc wstrzymywać innych ludzi, udałem się do bramki, aby wyjaśnić, że zmieniłem kierunek podróży. Pani z obsługi popatrzyła na mnie jak na wariata i stwierdziła po angielsku:

- Rozumiem nagłą zmianę planów, lecz najwyraźniej zapomniał pan o swojej walizce, która znajduje się już w samolocie.

- Spokojnie, mój tata jest na pokładzie, więc odbierze ją za mnie - odparłem.

Wtedy właśnie, kosztem innych pasażerów, zdobyłem cenną wiedzę na przyszłość. Pani poinformowała mnie, że samolot nie może odlecieć z walizką, bez jej właściciela. Nieistotny dla mnie szczegół sprawił zatem, że pracownicy lotniska musieli udać się z powrotem do samolotu, żeby odnaleźć i wyciągnąć tę konkretną walizkę, co opóźniło lot taty i innych Polaków (których serdecznie z tego miejsca przepraszam) o jakąś godzinę. Spróbuj sobie wyobrazić, jak musiałem się wtedy czuć. Tragedia, prawda? Czytaj zatem dalej, bo to jeszcze nie koniec. Spirala absurdów dopiero się rozkręca.

Wyciągnąłem telefon i zadzwoniłem do ojca. Nie chciałem, aby stresował się faktem, że samolot stoi w bezruchu, więc poinformowałem go o zaistniałej sytuacji. W trakcie rozmowy przypomniałem sobie jednak, że nadając nasze bagaże, nie wskazywałem nikomu, która walizka jest czyja. Szansa na to, że tata wróci do Polski ze swoim bagażem wynosiła zatem pięćdziesiąt procent. Co więcej, samolot do Berlina odlatywał za czterdzieści minut, więc nie było fizycznej możliwości, abym odebrał jedną z naszych walizek i nadał ją do Niemiec. Musiała ona zostać w Rzymie. A teraz rozładuję napięcie i odpowiem na pytanie, które pewnie zadaje sobie część z was. Czyja walizka została w Rzymie?

Walizka mojego taty. Serio.

Dalsza część tej historii nie jest wybitnie interesująca. Przygnębiony, bezradny i zniechęcony musiałem pogodzić się z losem. Wsiadłem na pokład samolotu Easy Jet, który zabrał mnie do stolicy Niemiec. Stamtąd, w środku nocy, odebrał mnie mój ówczesny przyjaciel William, który notabene następnego dnia bił się na gali charytatywnej z moim drugim przyjacielem, Robertem, a następnie udaliśmy się do Wrocławia. Parę godzin snu, szybki prysznic i wyruszyłem do Warszawy, aby wspólnie z prawnikiem udać się do prokuratora. Absurd tego całego zamieszania, wywołanego obawą, że lepiej, abym sam się stawiał w prokuraturze niż „był tam doprowadzony”, idealnie podsumowuje

fakt, że do Warszawy dotarłem w piątek rano, a na przesłuchanie zostałem zaproszony ostatecznie dopiero trzy dni później, w poniedziałek.

Po powrocie do mieszkania przytuliłem Natalię i przywitałem się z tatą, który czekał tam na mnie od poprzedniego wieczora. Nie minęło parę minut, gdy zadzwonił dzwonek do drzwi, a następnie do mieszkania weszły dwie miłe panie z komendy. Zarekwirowały one telefon, który miałem ze sobą we Włoszech. Do teraz wyjątkowo ubolewam, gdy o tym myślę, bo był to nowy, zakupiony dwa tygodnie wcześniej iPhone w najdroższej możliwej wersji. Nie zdążyłem się nim nawet nacieszyć, a już byłem zmuszony udać się do sklepu, żeby kupić nowy egzemplarz.

Będąc w temacie telefonów, wróć na moment do historii Natalii, która dzień wcześniej „oprowadzała” policję po naszym mieszkaniu i przytoczę pewną anegdotę. Przez pięć lat reklamowałem firmę produkującą obudowy na telefon. Owa firma miała praktykę, żeby przy okazji różnych akcji marketingowych, wysyłać mi razem ze swoimi obudowami smartfony, którymi miałem rzucać, aby przetestować wytrzymałość ich case’ów. Telefony te były rozsiane po całym mieszkaniu. Wyobraź sobie zatem zdziwienie funkcjonariuszy, którzy w trakcie tej wizyty, co parędziesiąt minut znajdowali w różnych, często przypadkowych, miejscach kolejne smartfony. W dodatku nieznane nam były kody dostępu, więc każde z tych parunastu urządzeń trzeba było podłączać do specjalnych, policyjnych, komputerów, aby zweryfikować do kogo należą.

Mam dwadzieścia osiem lat, choć czasem czuję, jakbym miał sześćdziesiąt. Życie, które przeżywałem było jak bajka, która nie chciała się skończyć. Jak to w bajkach bywa, pojawiło się w nim parę potworów, lecz za każdym razem umiałem je przezwyciężyć. Niestety czas pokazał mi, że życie to życie, a bajki to bajki. Potwór, z którym przyszło mi się teraz zmierzyć, jest najgorszym typem przeciwnika. Jego ciosy bolą sto razy bardziej. Mierzę się z nim nie tylko ja, ale również moi bliscy. Wykończył mnie psychicznie zanim w ogóle doszło do naszej walki. Nie wiem jak wygląda, ani jaką ma formę. Jest wszędzie. Zaatakował każdy obszar mojego życia. Nie wiem, czy przygląda się z boku, ukrył się gdzieś w środku mnie, czy może to ja nim jestem.

Pierwszy raz w życiu boję się czegoś tak bardzo, że nie umiem znaleźć słów, które mogłyby opisać ów strach. Wiem, że mogę przegrać tę walkę, dlatego tak ważny jest dla mnie tekst, który teraz czytasz. Poświęcam mu cały swój czas, bo chcę, aby moja prawda miała okazję ujrzeć światło dzienne. Prawda to jedyne co mi zostało.

Wiem, że to wszystko może się wydawać w tej chwili bardzo chaotyczne i niezrozumiałe, lecz zapewniam, że w końcu zacznie się układać w całość. Przeprowadzę cię przez historię mojego życia, abys mógł mnie lepiej zrozumieć. Od ciebie zależy, jak zinterpretujesz moje słowa oraz czy

wyciągniesz z nich jakieś wnioski. Postaraj się być otwarty na wszystko. Każdy z nas jest inny. Każdy z nas musi dźwigać swój bagaż doświadczeń. To on wpłynął na to kim jesteśmy i jaki mamy charakter. Ja nie wiem, jak zachowałbym się w twojej sytuacji, a ty nie wiesz, jak zachowałbyś się w mojej. Nawet jeśli wydaje ci się, że wiesz, to gwarantuję, że nie wiesz. Nie wiesz, bo nie jesteś mną i nie przeżyłeś tego co ja.

Mam nadzieję, że moja historia pomoże ci odnaleźć lub zrozumieć siebie, jeśli tego właśnie potrzebujesz. Całe życie błdziłem po omacku i choć wiem, że każdy musi nauczyć się na swoich błędach, to chciałbym tym tekstem wręczyć ci latarkę, która sprawi, że ciemność i niepewność nie będą takie straszne.